

Ksiądz Prymas nie dawał się wyprowadzić z równowagi wiadomościom hibernym, a prawie nigdy ich nie brakowało, szczególnie w stalinowskim okresie błędów i wypaczeń, gdy tyle krzywd wyrządzono Kościołowi. Zdobywał się na zachowanie spokoju. Przychodził na posłanki opanowany, choć wiele było niepomyślnych informacji, trudnych spraw i w korespondencji, i na audiencjach.

Umiał panować nad odruchami — słusznego nieraz — gniewu. Nie podnosił głosu. W trudnych chwilach nawet prosił o modlitwę, by jakimś nieopanowanym „wybuchem” nie ulegać emocji.

Był roztropny. Najtrudniejsze decyzje podejmował po dłuższej modlitwie, głębokim rozmyśle i po konsultacji takich osób, których przemysłane opinie cenił. Szanował zdanie innych. Ale raz podjęte decyzje realizował konsekwentnie.

Był odważny i dalekowzroczny. Niektóre decyzje wymagały rzeczywiście wielkiej odwagi. Wystarczy wymienić zawarcie pierwszego w historii Kościoła porozumienia z rządem komunistycznym, szanowanie nieważnych wyborów wikariuszy kapitulnych, narzuconych przez władzę świecką na Ziemiach Zachodnich, i udzielenie im jurysdykcji kościelnej; wreszcie zdecydowane pismo do rządu w 1953 roku, tzw. „Non possumus” — „Nie możemy ustąpić”.

Szukał dobra Narodu i Kościoła. Bronił go z odwagą i spokojem również wtedy, gdy praktycznie był sam. Był nieugiętym człowiekiem zasad. Zaraz po objęciu urzędu prymasowskiego, oceniając powagę sytuacji Narodu i Kościoła, widząc grożące niebezpieczeństwa ułożył plan obrony i jako normę postępowania przyjął szereg zasad. Dla obrony wiary Narodu postanowił ożyć nabożeństwo do Matki Boskiej Częstochowskiej „danej — jak mówi liturgia — ku obronie Narodu naszego”. Dla obrony Kościoła jako instytucji postawił zasadę największej troski o jedność Episkopatu i duchowieństwa oraz doskonalenie form działalności duszpasterskiej. Księża biskupi w myśl tych zasad postanowili nie ogłaszać żadnych deklaracji publicznych osobno, lecz wspólnie. Przyjęto zasadę, że publicznie w sprawach społeczeństwa i Narodu będzie wypowiadał się tylko Ksiądz Prymas.

Uważając, że wywiady i rozmowy z pewnymi ludźmi mogą być szkodliwe, postawił zasadę, że nie będzie przyjmował dziennikarzy.

Ksiądz Prymas był czujny. Nie dał się wyprowadzić w pole „chytremu lisowi”, jakim okazał się Bolestaw Piasecki, który nieraz przychodził

kusić do ustępstw — w chwilach zagrożeń Kościoła. Było to przed aresztowaniem — bo po wyjściu Księdza Prymasa z więzienia w 1956 roku nigdy już nie był przyjęty, mimo usilnych starań.

Znana była maryjność Księdza Prymasa, przez pewien czas opacznie odczytywana przez szereg osób, które nie rozumiały, że celem nabożeństwa do Najświętszej Maryi Panny nie jest — jak wiadomo — kult maryjny sam w sobie, lecz zbliżenie przez Maryję do Chrystusa i do Trójcy Przenajświętszej.

Ksiądz Prymas jadąc do Rzymu zawsze zabierał ze sobą naturalnej wielkości kopię główki Matki Bożej Częstochowskiej, co zwróciło uwagę nawet dziennikarzy. Kopia była zamówiona specjalnie u wybitnego artysty prof. Torwita z Torunia i stała zawsze na osobnym stoliczku obok ołtarza w domowej kaplicy prymasowskiej.

Tym maryjnym akcentem kończę krótkie wspomnienia, pomijając świadomie wiele aspektów, które są opracowane w różnych publikacjach.

*Anna Rastawicka **

„Oto człowiek”

Spotykamy się dzisiaj w oktawie Bożego Narodzenia. Pragniemy przedłużyć atmosferę betlejemskiej nocy także i w dzisiejszym naszym spotkaniu. Wracamy myślą do człowieka, o którym pamiętamy szczególnie 28 każdego miesiąca. Ale wracamy nie tylko jakoś mechaniczną myślą, wspomnieniem. Wierzymy przecież w Świętych Obcowanie, a więc wierzymy w jego tutaj obecność wśród nas. I dlatego to dzisiejsze wspomnienie będzie również spotkaniem. Chcemy spotkać się z nim w zwyczajności jego życia. Spróbujemy odnaleźć go myślą w codziennym dniu pracy na Miodowej.

Patrzyłam z bliska na tę rzeczywistość. Więcej, przez 12 lat na co dzień uczestniczyłam w tej rzeczywistości. Była to łaska, której do dzisiaj nie jestem w stanie zrozumieć.

* Pracownik Sekretariatu Prymasa Polski. Członkini Instytutu Prymasowskiego Ślubów Narodu.

Pracę w Sekretariacie na Miłodowej zaczęłam w roku 1969 bezpośrednio po ukończeniu studiów filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Głównym moim zadaniem, w ramach tej pracy, była pomoc pani Marii Okońskiej w korekcie językowej kazań, które Ksiądz Prymas wygłaszał żywym słowem. Nie pisał nigdy swoich wspaniałych konferencji, rozważań czy homilii. Pisał sobie tylko punkty. Każde kazanie od roku 1957 było nagrywane, następnie spisywane z taśmy i opracowywane redakcyjnie. Inny jest bowiem poprawny styl języka mówionego, nawet najbardziej literackiego, a inny języka pisanego. A więc korekta ta, pomimo tak niezwykłego daru słowa, jaki miał Ksiądz Prymas, była konieczna. Po opracowaniu — kazanie to było ponownie przepisywane na maszynie i wracało do Księdza Prymasa. On czytał je bardzo uważnie, często jeszcze sam poprawiał i zatwierdzał tekst autografu. Wszystkie autografy zachowywały się. Może jest kilka braków, ale są to wyjątkowe sytuacje. Obecnie teksty te są pieczołowicie przechowywane i nadal opracowywane. Samych kazań autoryzowanych jest 67 tomów maszynopisu po 400 stron, a nieautoryzowanych jest dwa razy tyle. Można więc wyobrazić sobie ogrom tej spuścizny.

Za życia Księdza Prymasa zostało wydanych około 40 samodzielnych pozycji książkowych. Niestety, są to już dziś unikaty. Wiele z nich ukazało się za granicą. Są właściwie nie do zdobycia.

Obecnie pracujemy nad przygotowaniem do druku kolejnych tekstów. Zawierają one bogactwo treści duchowych, humanistycznych i społecznych.

Tyle na temat pracy. A teraz druga zasadnicza część naszego spotkania. Jaki Ksiądz Prymas był na co dzień?

Po jego śmierci zastanawiałam się, co mi najbardziej pozostało w pamięci, jako kształt życia tego Człowieka. I uwertujcie mi, że tym, co najbardziej mnie urzekło, była nie tyle jego prymasowska wspaniałość i wielkość, chociaż stanowiła ona bezsporny rys jego życia. Pozostał w mojej świadomości przede wszystkim jako prawdziwy, Boży i ludzki człowiek. Nazywałam się go Ojcem.

Miarą jego wielkości w codziennym życiu był po prostu szacunek dla innych, szacunek dla każdego człowieka. Szacunek ten nie był tylko wyrazem dobrego wychowania czy towarzyskiej ogłady. Fundamentem takiej postawy była wiara, że każdy człowiek, nawet najbardziej sponiewierany i ten w naszym rozumieniu niemal niegodny nazwy

człowieka — jest jeszcze dzieckiem Boga. A więc każdemu należy się szacunek, bo każdego miłuje Bóg, nawet zbrodniarza. Często Ksiądz Prymas nam to powtarzał, tego uczył i tym żył na co dzień. Nie było dla Ojca ludzi wielkich i małych. Z takim samym szacunkiem przyjmował ambasadorów jak pochyloną ku ziemi staruszkę. Potrafił w czasie wizytacji zatrzymać się przy dziecku, które pochwaliło się, że będzie miało nową sukieneczkę, i zaprosić je, żeby przyszło się pokazać. Rzeczywiście, kiedyś taki skrab przyszedł. Babcia się wyszydziła wejść. Ale dziecko przyszło do domu Księdza Prymasa i powiedziało, że jest umówione, bo ma się pokazać w nowej sukience. Ksiądz Prymas oczywiście wyszedł do dziecka. Poświęcił małemu gościowi kilkanaście minut, podziwiał sukieneczkę. Bywały i takie audyencje.

Starat się, aby miejsce pracy było dla nas domem. Wspólnie z nami jadł posiłki. Nie zaczął sam jeść, dopóki wszyscy nie mieli nadożone na talerze. Sam często podawał, dokładał, obierał nam jabłka. Był naprawdę jak dobry Ojciec w domu.

Przestrzegaliśmy zasady, by w czasie posiłków nie mówić o pracy. Innych tematów nigdy nie brakowało. Ojciec miał fantastyczne poczucie humoru. Nieraz nawet w sytuacjach bardzo trudnych potrafił rozweselać innych. Opowiadał często dowcipy. Zaczęwał również nas do ich opowiadania. Nie wypadła powtarzać ich w kościele, ale może kiedyś spotkamy się w innych okolicznościach.

Nie słyszałam, żeby kiedyś mówił podniesionym głosem. Nie słyszałam, żeby o kims mówił źle, chociaż czasem prowokowaliśmy do tego. Aż korciło, żeby coś takiego wreszcie kiedyś powiedział. Czasami, chociaż bardzo rzadko, można było usłyszeć z ust Ojca ocenę jakiegoś postępowania, nawet surową, ale nigdy negatywnej oceny człowieka.

Kiedy nieraz nie dopisało się w pracy, np. bywało — że zapomniałam położyć Ojcu książek na podrecznej półce, z której brał je do rozdawania w czasie spotkań i audyencji, czy też nie zdążyłam na czas z korektą, nigdy Ojciec nie zgniewał się. Popatrzył, przypomniał i koniec. Czasem nawet napisał króciutki, żartobliwy wierszyk na ten temat.

Wspominam te drobne szczegóły, bo one przybliżają prawdziwego Ojca, tego z codziennego życia, w którym był tak nadzwyczajnie zwyczajny.

Dał się czasami oderwać od papierów i „uprowadzić” na spacer. Cudowne były te wspólne spacery po ogrodzie. Nieraz Ojciec sam nas

wyciągał do ogrodu, żebyśmy zobaczyli np., że już kwitną przebiśniegi czy krokusy. Zawsze pierwszy je wypatrzył.

Pomimo tak intensywnej pracy codziennie mówił różaniec, najczęściej w czasie spaceru w ogrodzie. Umiął zachować wewnętrzną równowagę, nie „zaspieszyc się”, nie poddawać się zdenerwowaniu. Znał każde drzewo, nazwy roślin, znał głosy ptaków. Umiął natychmiast odróżnić kosa od szpaka.

W ostatnich latach życia miał w ogrodzie swoje ulubione drzewo. Była to magnolia. Patrzył na nią z troską. Cieszył się, kiedy po raz pierwszy zakwitła. Oglądał jej białe kwiaty. I magnolia chyba czuła tę dobroć. Po śmierci Ojca drzewko uschło. Brzmi to jak bajka, ale taka jest prawda. Może potwierdzić to brat Józef, który w tym czasie opiekował się ogrodem na Miłodowej.

Ojciec z usposobienia był samotnikiem. Czasami zamyslał się, jakby był w innym, własnym świecie. Szybko jednak wracał do rzeczywistości, by nieustannie służyć innym.

Był bardzo zdyscyplinowany, ale naturalny. Nigdy nie przygniatał nas swoją ważnością czy nawaleł pracy, chociaż to, co my robiliśmy, było zaledwie małą cząsteczką w porównaniu z tym, ile ten człowiek miał na głowie.

Kiedy czasami było mi smutno czy trudno, jak to bywa w codziennym życiu, musiałam się bardzo pilnować i nadbrać miłą, żeby Ojcu nie dodawać zmartwień. On zawsze to zauważył, wyczuł. Zaraz starał się jako pomóc. Uśmiechał się, przygarniał do serca albo przynosił jakiś drobniaczek na pociechę — karteczkę, książkę lub czekoladę. Idąc na audycję najczęściej przechodził przez kaplicę. Kiedyś spieszyl się, ale zauważył, że kłęczę, spojrzał na mnie i zaraz poznał, że coś jest nie tak. Zapytał: — Czemu się martwisz?

Odpowiedziałam szczerze:

— Ojcie, bo tak nie umiem kochać Pana Boga!

A na to Ojciec:

— A wierzysz w to, że On ciebie kocha?

— Wierzę!

— To już Go kochasz!...

Jeśli czym chciałabym się dzisiaj podzielić, to może najbardziej tą właśnie lekcją. Czasami męczymy się tym, że niewiele możemy z siebie wykrzesać dla Boga, a przecież On pierwszy nas ukochał. Kocha nas nie

tylko wszystkich „w masie”, ale indywidualnie każdego. Życie Ojca było nieustannym świadectwem tej prawdy.

Szacunku dla człowieka i Bożego patrona na ludzi uczył się Ojciec od początku swojego życia. Bardzo kochał swoją matkę. Umarta, kiedy miał 9 lat. Ale nie zapomniał jej. Do końca życia tęsknił za nią. Po swojej ciężkiej chorobie w roku 1977 w rocznicę śmierci matki, 31 października, powiedział:

— Czy wy wiecie, co to znaczy 67 lat tęsknoty za matką?

Może jakimś odbłaskiem tej tęsknoty było jego ufnie dziecięce zawierzenie Matce Najświętszej. Wiedział, że ta Matka już go nie zostawi. Wiedział, że i w najtrudniejszych chwilach dla Kościoła może na Nią liczyć. Dlatego też — jak często wspominał — kiedy w więzieniu szukał pomocy, postawił na Nią. Oddał się jej nie tylko osobiście, ale zawierzył jej cały Kościół i Naród.

Wspominał też Ksiądz Prymas, jak w dzieciństwie uczył się szacunku dla człowieka. Do domu państwa Wyszyńskich przychodziła pewna kobieta, którą zawsze kazano mu jako dziecku całować w rękę. Często nie miał na to ochoty, ale trzeba było słuchać mamy. Na całe życie zachował niezwykły szacunek dla kobiety. Kiedy np. wchodziłam do gabinetu pracy, Ojciec wstawał, chociaż był Prymasem. Czasami dziękując za coś potrafił pocałować w rękę. Kiedy się człowiek bronił, odwracał problem i przekornie pytał:

— A co! Nie jestem godny?

Ojciec był zrywym świadectwem wielkiej miłości Boga i nieodłącznej miłości człowieka.

I jeszcze jedno krótkie wspomnienie spaceru. Kiedyś w deszczowy, wiosenny dzień wyszliśmy do ogrodu. Przed domem w krzewie glicyjni było gniazdo synogarlicy. Siedziała w nim wernie, czy była pogoda, czy deszcz. Zapatryłam się na to stworzenie. A Ojciec pyta:

— O czym tak myślisz?

— Ojczel! Tak sobie myślę, że ty czuwasz nad nami jak ta synogarlica. A ojciec nie zaprzeczył. Odpowiedział mi:

— Tak. Ja chyba naprawę już nie mam nic swojego...
Pragnę jeszcze przytoczyć świadectwo pani adwokatki Anny Schleifer z Katowic. Pisze ona:

„Od szeregów lat w dniach 3 maja i 26 sierpnia bywałam na Jasnej Górze i miałam tę łaskę, że przyjmowałam Komunię św. z Jego rąk. Pamiętam,

ze było to albo 3 maja albo 26 sierpnia. Dzieci przynosiły dobre uczynki w postaci ziarenek pszenicy, z których miały być przygotowane hostie. Przeznaczone dla Ojca świętego Pawła VI. Dzieci miały przetrzeźnić woreczki: haftowane, wyszywane koralikami, a jedno z nich miało zwać się „płócienny woreczek, ściągający tasiemkę. I kardynał Wyszyński sięgnął po ten właśnie woreczek.

Innym razem wraz z innymi osobami klęczałam u stopni ołtarza Matki Bożej i w pewnym momencie zsunęła się na kolana jakaś starszuszka i uklękła obok nas. A widząc to arcybiskup Kominek, który był koncelebranssem, szepnął do Kardynała:

— Nie starczy.

Wówczas Kardynał przełamał hostię na dwie części i powiedział:

— Starczy... starczy. Może to jej ostatnia Komunia święta.

Doznałam wiele owoców jego wspaniałomyślności. Był niedoścignętym wzorem życzliwości, łagodności i wyrozumiałości. Okazuje się, że nie ma ludzi niezastąpionych, bo mamy nowego Prymasa, ale są ludzie niepowtarzalni, do których należał śp. kardynał Wyszyński. Jego wspaniałą osobowość zamykam w dwóch słowach: „Ecce homo”

I ja swoją wypowiedź chciałabym zamknąć w tych samych słowach: „Ecce homo”. Oto człowiek i dla nas wzór, jak być człowiekiem.

*Janina Cyranowa**

„Miał otwarte oczy i serce dla wszystkich”

„Chrystus otwiera ci oczy serca na ludzi i uczy, jak ich mówić”. Były to słowa wypowiedziane przez Księdza Prymasa kardynała Stefana Wyszyńskiego w 1980 roku na zakończenie rekolekcji dla służby zdrowia. Słowa te były zasadą jego własnego postępowania.

Przez 20 lat bez mała miałam zaszczyt być domowym lekarzem

* Lekarz stomatolog.

stomatologiem ukochanego Księdza Prymasa. Wszyscy najbliżsi, i nie tylko, nazywali go po prostu Ojcem, bo sam się nim czuł — każde przemówienie z ambony do wiernych zaczynał słowami: „Dzieci Boże, Dzieci moje”.

Miałam szczęście w ciągu tych lat w różnych porach dnia służyć Ojcu opieką w ramach mojej specjalności. Dodatkowym ułatwieniem częstych spotkań z Ojcem było moje zaangażowanie w organizowanie i rozwój duszpasterstwa pracowników lecznictwa. Nawiasem mówiąc duszpasterstwo to w załączkach spotkań, rekolekcji, a szczególnie pielgrzymek na Jasną Górę trwało już od roku 1936.

Wracając jednak do osobistych przeżyć i wrażeń związanych z moją częstą obecnością w rezydencji Ojca na Miodowej, od pierwszych momentów uderzała mnie precyzyjna organizacja jego zajęć i niezwykła punktualność. Jego długi notes-terminarz, z którym się nigdy nie rozstawał, zapisany od wczesnych porannych godzin, jest świadectwem natwału spraw, spotkań, przemówień itp. Niepodziwiane okoliczności czy hierarchia wynikłych nowych konieczności często jednak zmieniały ustalony harmonogram.

Miał zawsze otwarte oczy i serce dla wszystkich, których po drodze spotkał. Jeśli nie szepnął jakichś serdecznych, dobrych słów, to uśmiechem i spojrzeniem ogarniał każdego z nas, włączając wieną gromadkę, jakby umieszczał nas i nasze sprawy w swoim dobrym, kochającym sercu, aby je przedstawić Bogu Najwyższemu w czasie rannej Mszy świętej. Gdy wypowiadał słowa: „Módlcie się, bracia i siostry, aby moją i waszą ofiarę przyjął Bóg Ojciec Wszechmogący”, każdy z nas, obejmowany jego szeroko otwartymi ramionami, czuł niemal namacalnie jakąś nieprzepartą siłę, która promieniuje od Ojca, włączała nas w sprawowanie Najświętszej Ofiary. To było autentyczne uczestnictwo, modlitewna łączność z tym wielkim kapłanem, a przez niego z Chrystusem. Łaska obecności na Mszy świętej, sprawowanej przez Ojca o godz. 7.30 rano, była bardzo zaproszonych z rodzicami.

Dobre ojcowskie poranne powitanie, nawet bez słów, budziły zawsze mój podziw. Często przecież wstajemy rano, jak to się mówi „nie w humorze”, nie wypoczęci, wyczerpani troskami, zmartwieniami, pełni niepokoju o spełnienie naszych planów. A Ojciec, mając ich tak wiele i tak bardzo ważnych, dotyczących ogromu spraw Kościoła i Ojczyzny,